

GABRIEL FAURE.

Jedyna noc.

Jestem porządny, aż do dźwięczności: raz na rok obowiązkowo wypróżniam szuflady mego biurka i sortuję niezliczone papiery, które w ciągu tygodni i miesięcy, odkładam codziennie na stronę, uważając, że trzeba je schować. Po roku, za wyjątkiem dokumentów osobistych i kilku autografów, na których mi zależy, wszystko niemal idzie do kosza.

Lekko przeziębiony, przekładałem w ów słotny wieczór listopadowy pozostać przy kominku i nie towarzyszyć żonie, którą znajomi namówili na operę.

Doskonala sposobność do przeprowadzenia tradycyjnej rewizji.

Spaliłem już mnóstwo listów, gdy nagle natykam się na jeden, którego sam widok wywołuje drżenie mojej ręki... Jakim sposobem dostał się między papiery obojętne?

Ogłosisz czytałem go codziennie prawie. Z biegiem lat, rzadziej nieco. Czas i życie zrobiły swoje. Miłości młodzieńcze oparowały mi serce, zmysły raczej. Literatowi, mającemu jakie takie powodzenie, nie zbywa na intrygach i przygodach miłosnych.

Ożeniłem się zresztą wcześniej zażywając dotychczas u boku żony niegasnącego szczęścia.

Moja żona, kobieta inteligentna i dobra, zna ten list... A jednak, rad jestem, że nie ma jej przy mnie w tej chwili i że nie widzi mego wzruszenia, kiedy trzymam w ręku tę zółtką i zmiętą ściwkę papieru.

* * *

Miałem wówczas lat dwadzieścia i pomijając moje idylliczne studenckie — prawdziwie nie kochałem jeszcze nigdy.

* * *

Widzę ją, zamknięty oczy, tak wyraźnie, jak w ów pamiętny wieczór wrześniowy z przed trzydziestu laty, u brzegów jeziora Como.

Nasze fotele były przytulone do siebie. Trzymaliśmy się za ręce — bez słowa. Po chwili, szepnąłem do niej po raz pierwszy, cichutko:

— Françoise...

Odszepnęła mi:

— Jacques...

Zebrałem wreszcie cały zapas odwagi młodzieńczej i wyjąłem błagalnym tonem:

— Nie odjeżdżaj jutro.

— W takim razie — odezwałem się jak najpokorniej — mam prośbę do ciebie...

— Jaką?

— Obiecaj najprzód, że ją spełnisz.

— To zbyt ryzykowne.

— Odjeżdżasz jutro, więc nie powinnaś odmawiać mi.

— Mów!

— Daruj mi tę noc...

— Oszalałeś do reszty, chłopcze, jak widzę!

— Tę noc, tę jedyną noc...

Czułem, że niemoc, słabość i tęsknota z przemożną siłą ogarniają jej całą istotę. Ale nagle wysiłkiem woli wstała z fotelu, oznajmiając, że wraca do siebie i wyjedzie jutro nie widząc się ze mną.

— Rzucę się do wody, jeżeli to zrobisz — odparłem i zdaje mi się, że byłem szczerzy.

Moje błędne oczy przeraziły ją. Usiadła znowu i głosem łagodnym, pełnym tkliwości, próbowała uspokoić mnie i przemówić do rozumu. Tłumaczyła mi po raz setny chyba, że nie jest wolna, że to brzydki z mego strony wyzyskiwać sytuację i korzystać z jej samotności.

— Kocham cię, kocham... — odpowiadałem na wszystko z nieodstępnym leitmoty- wem:

„Daruj mi tę noc...”

Odwróciła się twarzą ku mnie, jakgdyby błagając, abym ją oszczędził. Jakże piękną była w tej pozie zranionej Diany z głową w aureoli róż pnących się po dniu drzewa, pod którym siedzieliśmy!

Lecz przyroda jest pomocnicą i współ- niczką najniebezpieczniejszą kochanków, ta przyroda italska szczególnie, poddana jeszcze staremu bóstwu Pan.

Trzeba było całej prostoty ducha Poverello, by nie znaleźć szatana w kielichach kwiatów i w cieniu balsamicznych drzew.

W chwili, kiedy się namyślałem, w jaki sposób zabrać się energicznie do rzeczy, światła elektryczne zgasły i mroki zaległy w pustym już ogrodzie.

Obiąłem M-me Dalbert ramionami, szepcząc:

— Françoise, nie walcz sama ze sobą dłużej... Jutro będziesz daleko...

Z sąsiedniego hotelu dochodziło echo jednej z tych neapolitańskich piosenek, które sprawiają nam obrzydzenie, kiedy jesteśmy trzeźwi, a które — w pewnych chwilach — wtórują głosom naszej zmysłowej natury.

Instyktownie, usta nasze złączyły się w długim, rozkosznym pocałunku. Poczem wstaliśmy i bez słowa, poszliśmy do hotelu.

* * *

Czem była owa noc? Rozsądniej będzie nie myśleć dziś o tem. Nie wierzę bowiem, jak wówczas, że była wyjątkowa. Póki świat światem, a na nim nowicjusze kochankowie, twierdzić będą zawsze, że im jednym tylko dane jest, pierwsze skrzyppce dzierżyć w orkiestrze ekstaz miłosnych.

O świcie odeszła, by wrócić do swego pokoju, wymógłszy ode mnie obietnicę, że nie będę usiłował widzieć się z nią przed jej odjazdem i upoważniając mnie jedynie przyjść pożegnać się z nią w chwili, kiedy będzie wsiadała na statek.

Kiedy po ciężkim śnie ocknąłem się, spoj- rzałem na zegarek.

— Dziesiąta!

Miałem jeszcze dość czasu, zadzwoni- tem więc o śniadanie.

Służący, przynosząc je, podał mi list.

Spojrzałem na kopertę, nie domyślając się, od kogo pochodzi. Oczami spytałem lokaja.

— Od Madame Dalbert.

— Ah! Dobrze. Dziękuję — powie- działem, siłąc się na obojętną minę.

— Oddała mi ten list dziś rano przed odjazdem, nalegając, abym go panu wrę- czył, skoro tylko pan się obudzi.

— Ależ Madame Dalbert nie wyjechała jeszcze!

— Owszem, proszę pana.

— To niemożliwe!

Spojrzałem na zegarek i machinalnie przyłożyłem do ucha, chcąc sprawdzić, czy idzie.

— Dopiero dziesiąta — rzekłem — a statek odchodzi o dwunastą.

— Madame Dalbert zmieniła projekt wi- docznie, gdyż odjechała statkiem, który odchodzi o ósmej, ażeby trafić — jak mó- wiła — w Como ma pociąg pośpieszny do Bazyli.

— Jesteście tego pewni?

— Ja sam odprowadzałem ją i wloko- wałem jej bagaże na statek.

— Rozmyśliła się w takim razie — zam- knąłem rozmowę, z nadludzkim wysiłkiem ukrywając zmieszanie.

* * *

Kiedy zostałem sam, zacząłem drżeć tak mocno, że przez chwilę nie mogłem od- pieczętować listu. Zmiałem go i przedar- lem nawpół, nim otworzyłem.

Dziś jeszcze, po trzydziestu latach, drzę, zabierając się do przeczytania tych wierszy, które mógłbym wyrecytować z pamięci:

„Mój przyjacielu, sprawiam ci ból. Lecz niebawem, kiedy spokój powróci do serca twego, błogosławić mnie będziesz za to, że byłem dość silny, aby nie odkładać nieumik- nionej operacji. Skłamałam ci i chcę, żebyś wiedział o tem; ale nie miałam odwagi ani oznajmić ci tego, ani widzieć się z tobą po oznajmieniu. Jestem wolna, wdowa i bez- dziecina; dlatego właśnie, że jestem wolna, oddałam się od ciebie bez pożegnania, gdy- bym nie odjeżdżała, kto wie, możebym nie odjechała wcale... A tak być nie powinno. Po kilku latach, kilku miesiącach może, roz- stałbyśmy się z okrutnymi słowami na u- stach. Nie psujmy wspomnienia pięknych godzin, których nie żałuję, bo wolni oboje, nie sprzeniewierzyliśmy się nikomu. U- cieczka moje jedynie zdolna zachować czar naszych efemerycznych uniesień miłosnych, czar, który nigdy nie pryśnie doszczętnie. Pojmij mnie dobrze, Jacques: opuszczam cię dlatego, że cię kocham. Błogosław, jak ja, boski epizod. Uroń lże czasami, wspomina- jąc naszą jedyną noc. Żegnaj, mój Jacques kochany, żegnaj mi... na zawsze”.

Skrót i tłum. Jotsaw.



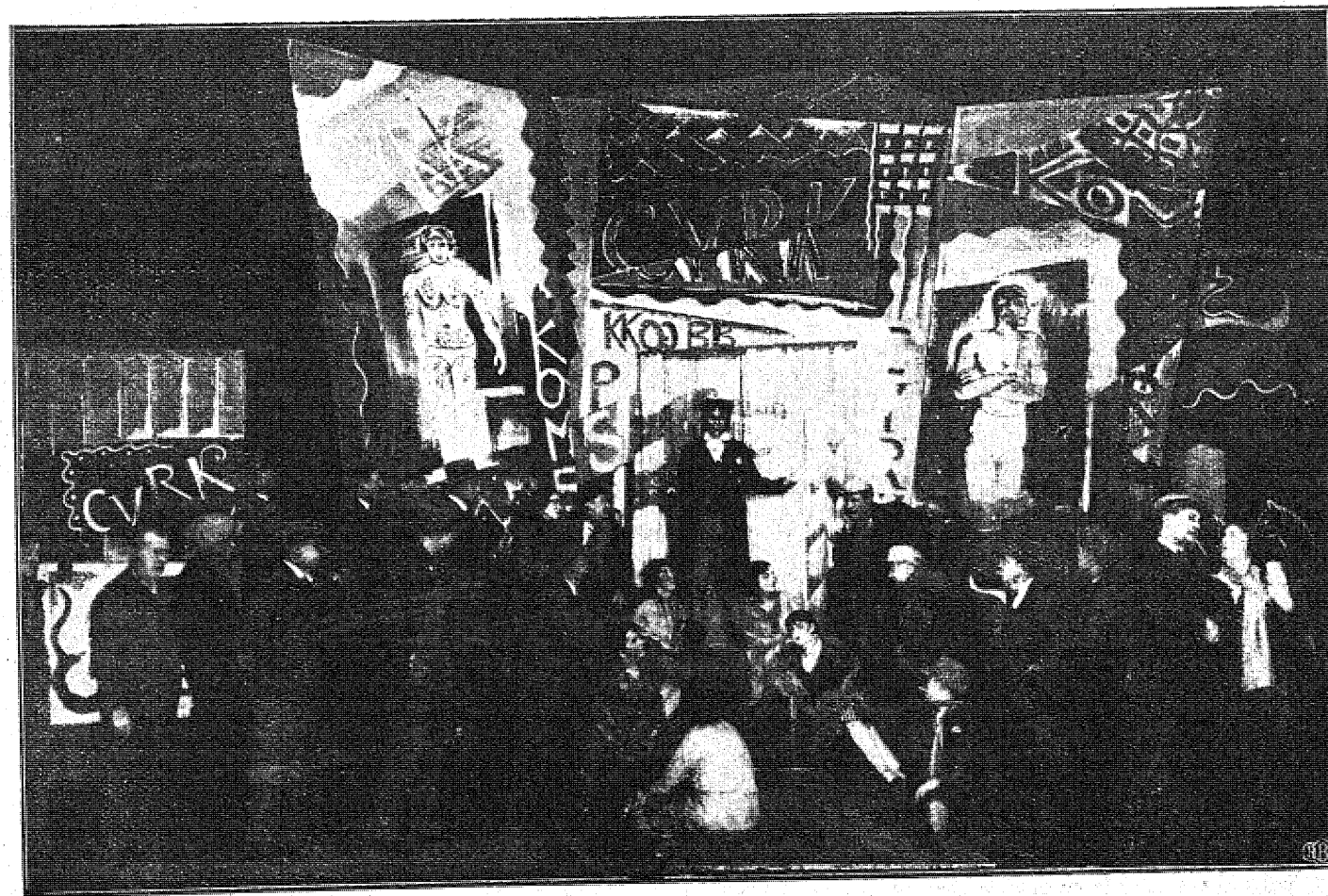
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO”.

Rok VI.

Niedziela, 24 lutego 1929 roku.

Nr. 8.

„Hinkeman” w Teatrze Miejskim.



Jedną z najciekawszych, najbardziej odpowiadających Łodzi premier w Teatrze Miejskim była tragedia E. Tollera „Hinkeman”. Na zdjęciu powyższym widzimy fragment aktu II-go, przedstawiający scenę cyrku. W głębi na tle dekoracyj cyrkowych rysuje się postać odwrócony właściciela budy cyrkowej, p. Znicza.

TEATRALIA.

Nowa opera polska. — Renesans operetki warszawskiej. — Z teatralnej prowincji. — Drobiazgi zagraniczne.

Operowy teatr poznański wystawił w tych dniach premierę „Krzyżaków” — Adama Dołyckiego, znanego kompozytora i symfonisty. Nowa opera polska wzbudziła poważne zainteresowanie nie tylko w Poznaniu, a cały szereg sprawozdawców muzycznych pośpieszył z Warszawy na pierwsze przedstawienie dzieła Dołyckiego. Opinie fachowe wypadły dla „Krzyżaków” bardzo pochlebnie. Podkreślana jest przede wszystkim melodyjność opery i jej dobra, wartościowa strona muzyczna, zdradzająca wprawdzie wpływy wagneryzmu, posiadająca jednak własny wyraz i indywidualne zalety. Dobrze również opracowane jest libretto, które odznacza się scenicznością i umiejętnym wykorzystaniem materiału literackiego. Jak oświadczył autor, treść wzięta jest z powieści Sienkiewicza, która uległa odpowiedniej, dość swobodnej przeróbce. Podkreślone mianowicie zostały pewne momenty i postacie historyczne, jak np. Jagiello i bitwa grunwaldzka, mniej natomiast wypuklono wątek romantyczny fabuły. Doskonale spisali się soliści opery poznańskiej, z pp. Zalewskim, Perkowiczem, Roesslerówną i Kisielewską na czele, bez zarzutu były orkiestra i chóry. Operę prowadził doświadczona, umiejętna ręką dyrygent Wojciechowski, zaś dekorator Jarocki pomysłowo rozwiązał zagadnienia dekoracyjne. Całość wyreżyserował p. Urbanowicz, stwarzając widowisko o wysokim pod każdym względem poziomie artystycznym. Należy mieć nadzieję, że poważny sukces „Krzyżaków” na scenie poznańskiej będzie ich kartą legitymacyjną, uprawniającą do jak najszybszego wprowadzenia utworu Dołyckiego na anemiczny przeważnie repertuar opery warszawskiej.

Skoro już mowa z okazji premiery „Krzyżaków” o operze poznańskiej, należy podkreślić z uznaniem wzorową gospodarkę tego teatru, której kierownictwo spoczywa w rękach dyr. Stermicza (dział artystyczny) i p. St. Czapskiego (dział administracyjny). Oprócz „Krzyżaków”, wystawiono już w bieżącym sezonie dwie inne premiery — „Chopina” Oreficego i „Klejnoty Madonny” Wolfa-Ferrarięgo. Przewidziane są następnice: „Mazepa” — Czajkowskiego, „Mefisto” Boito, „Jonny” — Krenęka, „Afrykanka” — Meyerbeera i in., nie licząc wznowień, jak „Arjadna z Naxos” R. Straussa, „Jenufa” — Janáčzka i „Wesele Figara” — Mozarta. W programie, oprócz oper, znajduje się również kilka klasycznych operetek („Bal w operze” „Girofle-Girofla”, „Donna Juanita”). Opera poznańska wystawia co miesiąc premierę; wymaga to oczywiście bardzo solidnej i wyteźonej pracy całego, składającego się ze 150 prawie osób zespołu. Rezultaty artystyczne tej pracy zasługują zawsze na najwyższe uznanie; co do rezultatów kasowych, dość powiedzieć, że opera poznańska cieszy się jedną z największych frekwencji w Polsce, a miasto dokłada rocznie

tylko 700,000, jako subwencję stałą. Racionalnym posunięciem było wprowadzenie przedstawień zniżkowych (do 60 proc.) dwa razy w tygodniu, dla pracowników umysłowych i fizycznych. Zresztą, bilety w operze poznańskiej są stosunkowo niedrogie, kosztują bowiem na przedstawienia zwykle od 1 zł. do 8,50. Gospodarując tak pod każdym względem planowo i rozumnie, opera poznańska należycie spełnia swe odpowiedzialne zadanie i może być stawiana za wzór niejednemu z pośród teatrów polskich.

Słynna na całą Europę w przedwojennych czasach operetka warszawska, przeżywa w ciągu lat ostatnich okres jakoby upadku, przerywany mniej lub więcej udanymi próbami odnowienia i restytuowania dawnego splendoru, dawnego rozgłosu. Po kilku miesiącach zupełnej ciszy i niebytu, stworzony ponownie zespół, bogaty w talenty, a pełen



Doskonały komik filmowy Harold Lloyd, ceniony przez miłośników Dziesiątej Muzy w Łodzi.

energji i wiary w przyszłość, wystawił w teatryku „Znicz” jedną z najnowszych operetek Felixa p. t. „Jaśnowłosa cygan”. Jest to operetka wartościowa pod względem muzycznym, pełna ognia i sentymentu; libretto ma sens i logikę, różniąc się wybitnie od różnych śpiewanych tu i ówdzie pod nazwą „operetek” niedorzeczności. Stęskniona za operetką Warszawa przyjęła „Cyganę” z entuzjazmem, gorąco oklaskując wykonawców z p. Messal na czele.

Dochodzą nas bardzo miłe wieści o artystycznej działalności teatru miejskiego w Bydgoszczy, prosperującego w sezonie bieżącym pod dyrekcją p. Stomy. Kilka wzorowych przedstawień (np. „Królewski Jedynek”, „Dożywocie”, „Głupi Jakób”) stanowią świadectwo wartości zespołu, wśród którego spotykamy b. pracowników najpierwszych scen warszawskich, lwowskich i innych. Pomimo niezbyt przyjaznej dla pracy artystycznej atmosfery i rzucania przez zawistnych lub uprzedzonych, kłód pod nogi dyrekcji niezmiernie zabiegającej o wysoki poziom sceny bydgoskiej, wyniki działalności teatru są bardzo poważne, a tem więcej zasługują na podkreślenie, że oparte są na fundamencie twórczości polskiej, należycie respektowanej i ocenianej. Jest to pozycja niezmiernie dodatnia, zwłaszcza w pracy teatru prowincjonalnego, posiadającego w odzyskanej dzielnicy duże obowiązki do spełnienia, wśród różnych przeszkód i trudności.

Z obowiązku zanotować wypada kilka nowości scenicznych, granych bądź też przygotowywanych do grania w teatrach zagranicznych. W Paryżu ukaże się wkrótce oryginalna sztuka, napisana przez wybitnego krytyka francuskiego, F. Greggha, p. t. „Kupiec paryski”. Wesoła akcja toczy się w środowisku finansjery żydowskiej i zawiera podobno wiele doskonałych chwytów obyczajowych. Londyński „Haymarket” wystawił przeróbkę „Klub Pickwicka” — Dickensa. Jest to oczywiście mocny skrót przepysznej powieści, który cieszy się wielkim powodzeniem. Berliński „Deutsches Theater” wystawić ma „Mieszczucha — szlachcicem” — Moliere w przekładzie i opracowaniu scenicznym dwóch wybitnych dramaturgów: Hasenclevera i Tollera, autora granego obecnie w Łodzi „Hinkemana”.

W Varese pod Mediolanem zmarł wybitny dramaturg i krytyk włoski, Marco Praga, którego sztuki, jak „Drzwi zamknięte”, „Wdowa”, „Spadkobiercy” i in. cieszyły się w swoim czasie ogromnym powodzeniem na wielu scenach świata. W ostatnich latach życia Praga poświęcał się wyłącznie krytyce teatralnej.

Dario Niccodemi, autor tak popularnego w Polsce utworu „Świt, dzień i noc” — wydał niedawno swe ciekawe wspomnienia biograficzno-artystyczne. Zawierają one m. in. dużo materiału na temat stosunków Niccodemiego z szeregiem znakomych pisarzy (Maeterlinok, France) oraz interesujące szczegóły, dotyczące działalności autora, jako twórcy i dyrektora trupy teatralnej.

Delta.



Okres hucznych i niefrasobliwych zabaw karnawałowych w Łodzi zakończony został wytworną i wspaniale zorganizowaną przez Syndykat Dziennikarzy Redutą Prasy w salonach Filharmonji. Powyżej widzimy fragmenty ostatniej nocy karnawałowej w Łodzi.



Uwieńczeniem Reduty Prasy był wybór królowej Łodzi i jej czterech dam dworu. Referendum obwieściło, że królową Łodzi została p. Bekkierowa (+) widziana powyżej w towarzystwie swych czterech dam dworu.



Komitet Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej w Łodzi z grupą swych członków oraz magazynami środków obronnych.



W dniu 17 bież. mies. odbyła się w Filharmonji w Łodzi podniosła akademja robotnicza ku czci Ojca św., zorganizowana w rocznicę koronacji papieża Piusa XI-go.



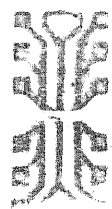
Pogłębianie tajników wiedzy. Uczniowie gimnazjum K. Tomaszewskiego przy zajęciach praktycznych w laboratorium przyrodniczym. Fot. A. Mayer.



Greta Garbo, bohaterka filmu „Symfonia zmysłów” w swej nowej kreacji „Boskiej kobiety”.



Nikolaj Kolin stworzył niezrównaną postać szewca Hassana w filmie „Szeherazada”.



Ad. Schlettow, znakomity artysta charakterystyczny.



Humorystyczny fragment z filmu „Zięć firmy Cohn”



Najpiękniejsza para ekranu Fae Malten i Laris Lersch w filmie reżys. Eichberga p. t. „Arlekinada życia”



Świetlana Liljana Gish, najsubtelniejsza artystka w rolach tragicznych ekranu ukaże się wkrótce w filmie „Nieprzyjaciel”



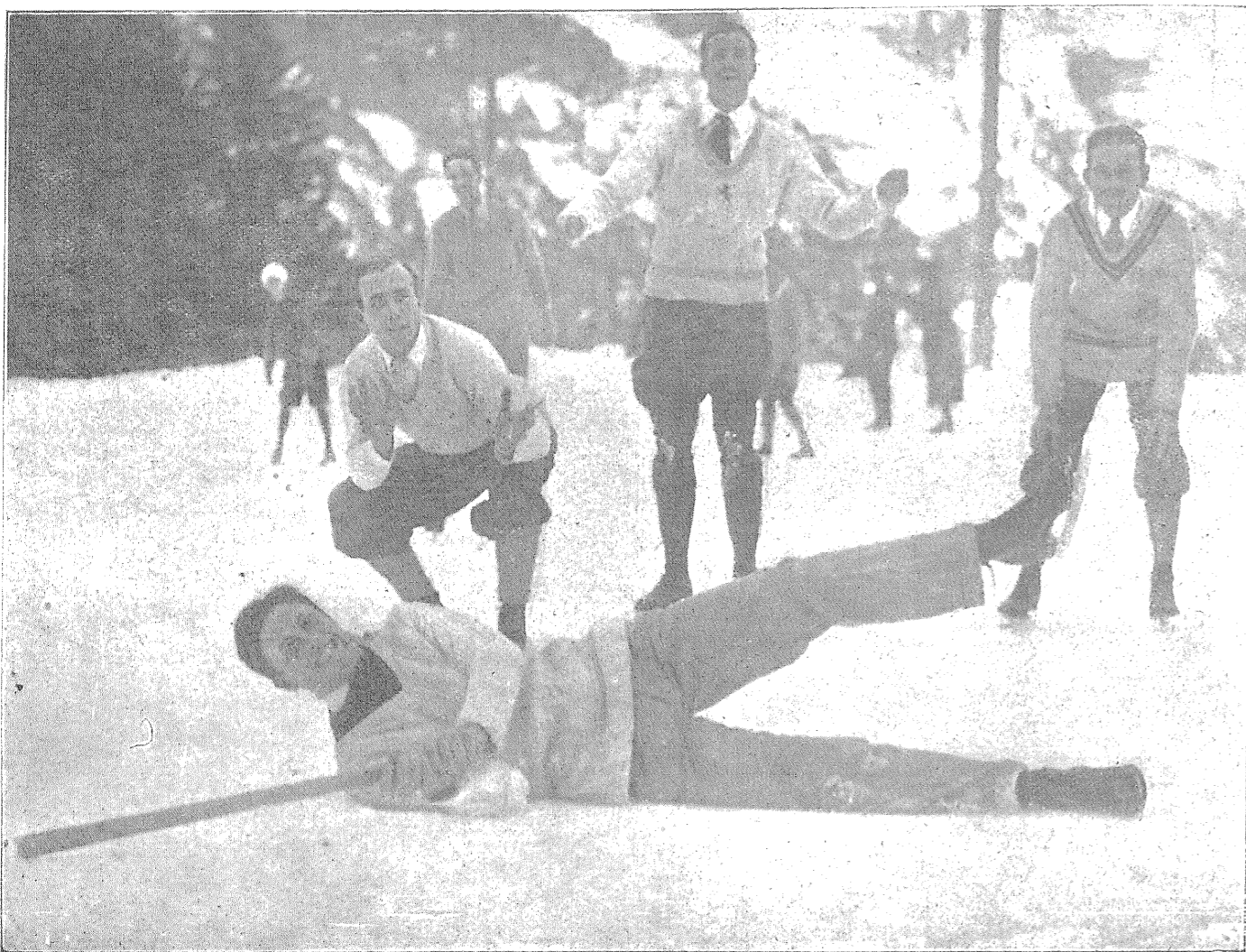
Leatrice Joy, jedna z najsympatyczniejszych artystek ekranu znana z filmu „Pieszczotka”



Charles Murray w filmie komediowym p. t. „Nasze zagranicą”



Betty Compson i Kenneth Harlan stworzyli potężne kreacje w filmie p. n. „W sidłach grzechu”



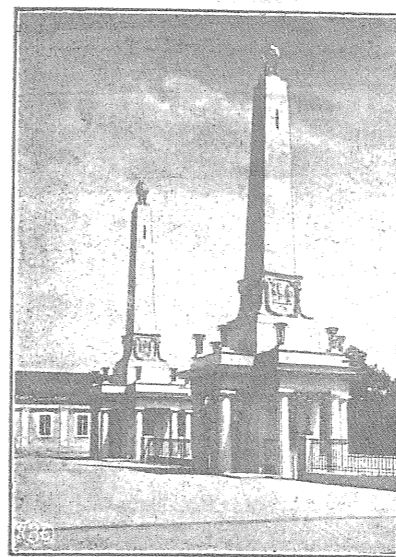
Rozkosze i dobrodziejstwa zimy ściągają licznych miłośników sportu tam, gdzie w całej pełni dobrodziejstwa te można używać swobodnie i napawać się nimi dosyć. Poza sportem narciarskim z zapalem uprawianym w kraju do najmilszych należy sport łyżwiarski w połączeniu z zabawami sportowymi na lodzie. Powyżej widzimy pogodny fragment zabaw łyżwiarskich na lodzie.



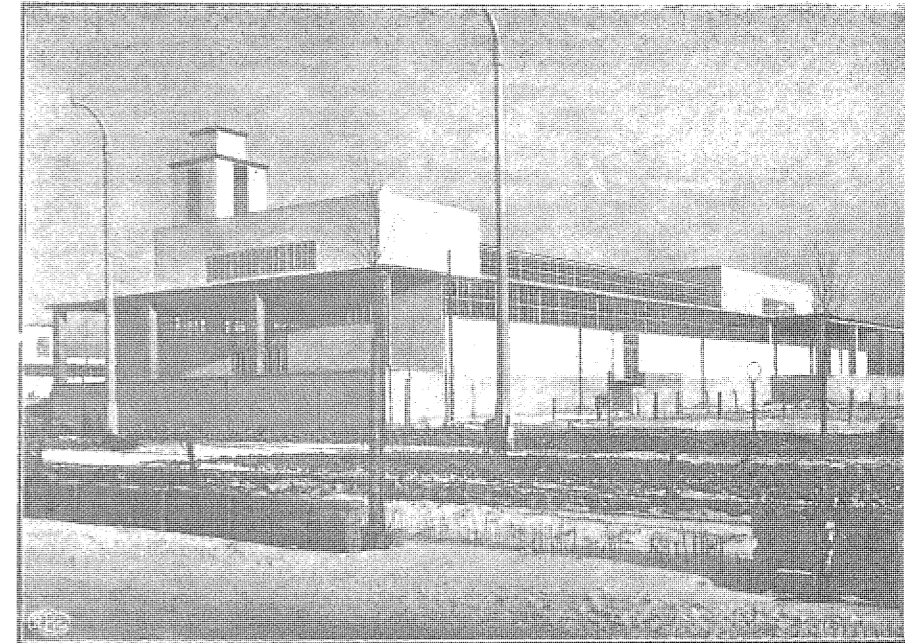
Trener polskiej ekipy narciarskiej Simonsen (Norwegia) i por. Kasprzyk, kierownicy Ośrodka Narciarskiego w Zakopanem.



Reprezentant Polski w narciarstwie, Cukier, uzyskał wiele nagród za najpiękniej i stylowo wykonane skoki na nartach.



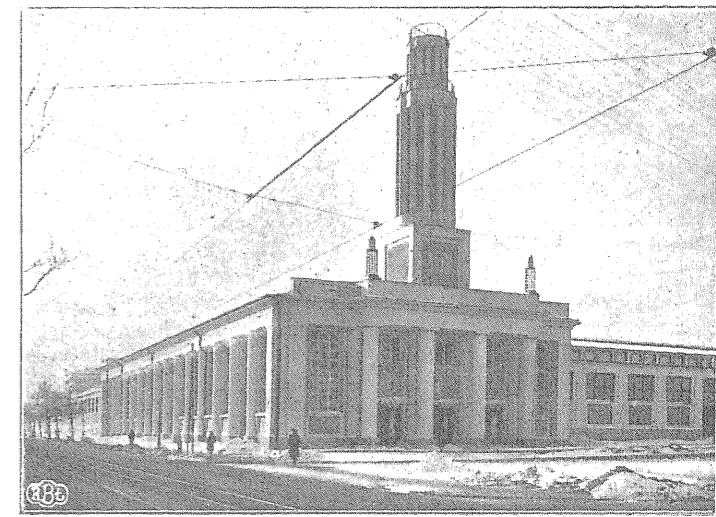
Obeliski, zdobiące wejście na Powszechną Wystawę Krajową w Poznaniu od strony dworca.



Pawilon produkcji roślinnej na Powszechniej Wystawie Krajowej w Poznaniu.



Jedna z hal głównych na Powszechniej Wystawie Krajowej w Poznaniu.



Hala przemysłu włókienniczego na Powszechniej Wystawie Krajowej w Poznaniu.

V. BLASCO IBANEZ.

Cud świętego Antoniego.

Od lat Ludwik nie widział ulic Madrytu o godzinie dziewiątej z rana. Podczas kiedy jego towarzysze z klubu zasypiali w najlepsze, on, zmieniawszy ubranie, zdażał ku Florydzie (promenada w północno-wschodniej stronie Madrytu) kołysany lekkim chybtem swego eleganckiego pojazdu.

Kiedy wrócił do siebie dobrze po świcie, wręczono mu list, przyniesiony poprzedniego dnia wieczorem. Pochodził od nieznanym, która od dwóch tygodni prowadziła z nim osobliwą korespondencję, podpisywaną początkowymi literami tylko.

Charakter pisma angielski: pewny i regularny, wspólny wszystkim dawnym pensjonarkom Cacre-Couer. Jego żona nawet miała ten sam charakter pisma. A może to ona prosiła go o rendez-vous o godzinie dziesiątej u wejścia do Florydy w kaplicy świętego Antoniego?

Bah! Co za idiotyczna myśl!

Bawilo go, że śpiesząc na schadzke, myślał o żonie, tej Ernestynie, której wspomnienie bardzo rzadko chmurzyło jego wesołe kawalerskie życie, lub, jak się lubił wyrażać, życie wyemancypowanego męża.

Co ona robi o tej godzinie? Pięć lat mijają jak się rozstali i rzadka miewał tylko o niej wiadomości, a nie spotykali się ze sobą nigdy.

Małżonkowie z miłości, zdrowi oboje i bogaci, mieli wszelkie dane dla zażywania szczęścia na tym padole płaczu, ale po dwóch latach harmonii, Ludwik uprzykrzywszy sobie monotonne życie małżeńskie i wróciwszy do swych towarzyszy z okresem przedmałżeńskim, nawiązał z nimi serdeczne stosunki.

Ernestyna protestowała daremnie. — Wkońcu, chcąc wzbudzić jego zazdrość rozpoczęła flirt tak niebezpieczny z pewnym attache ambasady amerykańskiej, że znajomi podejrzewali ją nawet o uchybienie wierności małżeńskiej.

Ludwik dobrze wiedział, że żona jego była niewierna, ale... nie czuł się stworzonym

do rodzinnego życia i kwita! Korzystając więc ze sposobności, udał, że bierze incydent na serjo. Z Amerykaninem załatwił sprawę, raniąc go lekko jednym cięciem szabli — biedny chłopiec! Jaka wielką przysługę oddał mu bezwiednie!

Z Ernestyną zaś rozstał się bez skandalu i bez wdania się trybunału, jakgdyby nic ich nie wiazało i jakgdyby te dwa lata wspólnego życia były długą podróżą do kraju chimery jedynie. Ernestyna jednak nie chciała wyrzec się Ludwika. Kochała bowiem męża uczuciem głębokim. Jednocześnie pojednawcze jej kroki, pochlebiające Ludwikowi, irytowały go, jako groźne zakusy na jego cudownie odzyskaną wolność kawalerską. Opierał się tedy kategorycznie wszelkim zabiegom poważanych w mieście dawnych przyjaciół rodziny, których mu żona przysyłała w ambasadzie i przestał nawet bywać w salonach, w których mógł być narażony na „przypadkowe”, przez przyjaciół „uplanowane”, spotkanie z Ernestyną.

Powóz zatrzymał się przed kaplicą „San Antonio de la Florida”. Ludwik wysiadł i dawszy woźnicy znak, aby czekał, poszedł ku kapliczce. Ale na znaczący kaszel woźnicy odwrócił się. Z tramwaju zeszła dama, zмирzając w jego stronę.

Wysmukła, zgrabna, zlizwała się do niego, szeleszcząc swymi strojami dessous. Ludwik uczył zapach perfum, którymi był przepojony list, w jego kieszeni. Tak, to ona!

Kiedy jednak dama znalazła się o kilka kroków od niego osłupiał. Przed nim stała Ernestyna.

— Ażebym się z tobą zobaczyć, trzeba używać fortelów, budzących wstręt w duszy uczciwej kobiety — odezwała się ze smutnym, lecz pełnym słodyczy uśmiechem.

Do kroćset! Pomyśleć, że dla tego niemiłego spotkania tak wczesnie wyszedł z domu! Schadzka z własną żoną! Jakżeby drwili z niego przyjaciele klubowi, gdyby dowiedzieli się o tem!

Dwie praczki zatrzymały się w pobliżu pod pozorem zmęczenia, ażeby usłyszeć rozmowę tego pana i tej pani.

— Wsiadał...! Wsiadał...! — zawołał Ludwik rozkazującym głosem do żony. Komizm sytuacji irytował go.

Woźnica ruszył w drogę ku Pardo (park królewski, przylegający do Madrytu, do którego prowadzi piękna aleja z de la Florida). Małżonkowie, sparaliżowani niezwykłą sytuacją, milczeli.

Ona zaczęła. Ach! Przeklęta! Istny chłopiec w spódnicy! Dlatego uciekł od niej! Ponieważ, mimo pozorną łagodność pieściotliwej kotki, zawsze stawiała na swoim.

— Słuchaj, Ludwiku... Kilka słów tylko. Kocham cię i jestem zdecydowana wszystko znieść. Jesteś moim mężem i przy tobie powinnam żyć. Obchodź się ze mną, jak chcesz. Bij mnie nawet... będę cię kochała, jak kobiety, które w razach widzą dowód miłości. Chcę ci powiedzieć, że należysz do mnie i nie oddam ci nikomu. Zapomnijmy o przeszłości; możemy jeszcze być szczęśliwi. Ludwiku, mój najdroższy, która kobieta może cię tak kochać, jak twoja żona?

Chciał milczeć, być wzgardliwym, znużyć ją swoim chłodem, ale przemówienie jej wyprowadziło go z równowagi...? Zacząć wspólne życie...? Zaraz...? Czy Ernestyna myśli, że on jest warjat...?

— Pani zapomina, że są rzeczy, których się nie przebacza...! Dobrze nam tak jest, zresztą! Po co zmieniać...? Nie jesteśmy stworzeni do wspólnego życia, dość wspomnieć ostatnie miesiące naszego małżeństwa — istne piekło. Rozstanie służy nam; ja doskonale się czuję, a pani... piękniejsza, niż kiedykolwiek! O, słowo daję, że szaleństwem byłoby psuć madre dzieło czasu.

Lecz ani ceremonjalne „pani”, ani raczej przytaczane przez Ludwika, nie mogły przekonać Ernestyny. Nie jest w stanie żyć dalej w ten sposób. Jej sytuacja w towarzystwie dwuznaczna. Kobiety irują ją

za lekką iatwą do zdobycia, bez serca i wszelkich uczuć rodzinnych.

— Powiedz, Ludwiku, czy to prawda?

Ale Ludwik, który słyszał już to wszystko od tych, których mu Ernestyna nasyłała, odwrócony prawie że plecami od niej, patrzył na drogę Los Viveros, wysadzaną drzewami, pod którymi kłębił się wesoły tłum.

Ernestyna tymczasem ciągnęła dalej z ustami coraz bliżej ucha męża. Żyłaby jednak spokojnie zdala od niego, gdyby nie zazdrość. Tak, niech się Ludwik z niej śmieje, ale od roku jest o niego zazdrośna, bo dowiedziała się o jego życiu zakulisowym z ladażnicami, które go rujnują. Czy może słuchać o tem ze spokojem? Czy nie powinna bronić swoich praw do męża, jedynego dobra, jakie posiada w życiu...?

Ludwik już nie siedzi do niej plecami. Patrzy jej wprost w twarz z majestatyczną i wyniosłą miną:

Robi, co mu się podoba! Nie potrzebuje się przed nikim tłumaczyć. Niech pani pamięta, że i ona nie była w zgodzie ze swymi obowiązkami. Kiedy się ma serce złamane, trzeba się starać zapomnieć, rozerwać myśli...

Mówiąc tak, Ludwik ma oczy utkwione w żonę.

Jakaż ona piękna, szelma! To nie jest już młodzianka, ładna paniątka o wątłej i delikatnej budowie, która bała się dekoltu, ażeby nie świecić wdękłosciami obcożyków! Przez te pięć lat rozstania z nim rozkwitła i jest dziś czarująca, rozkoszną kobietą o kształtach zaokrąglonych. Jaka szkoda, że to właśnie Ernestyna, jego żona!

Ona zaś, czytając w jego myślach, przysuwa się doń coraz bliżej, poddana, jak ofiara, żalująca swej lekkomyślności, wynikłej z braku doświadczenia, gotowa znieść męki wzamian za trochę miłości.

Ludwik unika teraz zetknięcia z jej ciałem. Związa się w kłębek w kacie pojazdu, jak nieśmiała dziewczica. Myśl o towarzyszach podtrzymuje go jedynie. Co powiedziałby na to przyjaciel jego markiz V., prawdziwy filozof, który szczęśliwy z odzyskania swobody przez rozwód, kłania się swojej żonie na ulicy i całuje jej dzieci, urodzone dawno po rozstaniu z nim. Ten, to przynajmniej męczyzna, godny tej nazwy! Trzeba położyć koniec tej śmiesznej scenie.

— Nie, Ernestyno — odzywa się stanowczo, mówiąc jej ty — nigdy już nie rozpoczniemy wspólnego życia. Znam cię. Jesteście wszystkie do siebie podobne! Idź swoją drogą! Niech ci się zdaje, że nie znalazł się nigdy...

Nie mógł skończyć, gdyż Ernestyna, odwróciwszy się do niego plecami, zaniósł się od gwałtownego płaczu.

Zalując swej brutalności, kazał woźnicy stanąć. Zatrzymali się przy Porte de Fer (Brama żelazna), prowadzącej do parku Pardo. Nikogo w tej chwili nie było na ulicy.

— Idź po wodę — rozkazał woźnicy — lub po coś innego — pani zachorowała.

I podczas gdy woźnica biegł do sąsiedniego szynku, Ludwik próbował pocieszać swoją żonę:

— Uspokój się, Ernestyno. Czy to warto? Śmieszna jesteś. Wyglądasz, jak mała dziewczynka.

Ernestyna kłała jeszcze, kiedy woźnica przybiegł z butelką pełną wody. Zapomniał w pośpiechu wziąć szklankę.

— Mniejsza o to. Pij!

Ernestyna, wzięwszy butelkę, podniosła woalkę. Żadnych barwidel na twarzy, jak za czasów, kiedy bywała w świetle; skóra jej była świeża, czysta i biała z odcieniem różowym.

Ludwik utkwiał oczy w ślicznych wargach, które się ściągły, ażeby przyłgnąć do szyjki butelki. Ernestyna piła z trudem po kropelce. Jedna z nich spadła na okrągły i zgrabny podbródek. Toczyła się leniwie w dół. Ludwik śledził ją oczami, przysuwając się coraz bliżej. Już ma spaść z twarzy... już odpada...

Lecz nie odpadła, Ludwik bowiem, nie zdając sobie sprawy, co robi, wziął ją na swoje wargi i w tej samej chwili uczył uścisk ramion żony, która wydała okrzyk zdziwienia i radości.

— Nareszcie...! Ludwiku, mój najdroższy...! A widzisz, mówiłam! Jakiś ty dobry!

I ze swobodą tych, co nie potrzebują kryć się z miłością, ucałowali się głośno, nie zwracając uwagi na zdumioną karczmarzkę, która przyszła po butelkę.

Woźnica, nie czekając rozkazu, trzasnął z bicia i zawrócił do Madrytu.

— Mamy teraz panią — mruzczał pod nosem, popędzając konie. — Wracajmy prędko, nim się pan rozmyśli.

W powodzie, małżonkowie, trzymając się wpół, patrzyli sobie w oczy rozmiłowanym wzrokiem. Kapelusz zsunął się Ludwikowi z głowy i Ernestyna burzyła mu włosy na głowie, jak w okresie miodowych miesięcy...

Kiedy mijali kaplicę świętego Antoniego, Ernestyna, oparta o ramię męża, wyprostowała się, mówiąc:

— To on zrobił ten cud, żeśmy się pojednali ze sobą. Kiedy byłam małą dziewczynką modliłam się do niego, aby mi dał dobrego męża. Roztaczał nadę mną powściągnięciem swą opiekę, zwracając mi mojego najdroższego Ludwika.

— Nie, kochanie; twoja piękność zrobiła ten cud.

Ernestyna zawahała się chwilę, poczem odparła poważnie:

— Wiem o tem, drogi Ludwiku, że to, co cię jedna ze mną nie jest tem uczuciem, którego od ciebie pragnę. Wzięłam cię moją urodą i pożądaniami, jakie w tobie budzę. Wracasz do mnie, jak do kochanki, ale zobaczysz, że dobrocią i przywiązaniem doprowadzę cię, jestem pewną, do tego, że będziesz mnie kochał i ubóstwiał, jak żonę.

Skrót i tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO”.

Rok VI.

Niedziela, dnia 10 marca 1929 roku.

Nr. 10

Okręgowy Sąd Pracy w Łodzi.



W miesiącu lutym r. b. odbył się w łódzkim Sądzie Okręgowym podniosły akt zaprzysiężenia ławników do Okręgowego Sądu Pracy. Powyżej widzimy grupę zaprzysiężonych ławników z p. prezesem Sądu Okręgowego w Łodzi, sędzią Stefanem Belżyńskim na czele. Fot. A. Meyer.